

665

Tele-impulsy

Oprócz własnych widowisk, Teatr Telewizji prezentuje zarejestrowane na taśmach spektakle żywo planowanych scen dramatycznych. Korzyść z tego podwójna. Po pierwsze: wielomilionowa publiczność całej Polski może zobaczyć głośne przedstawienia renomowanych teatrów. Po drugie: zapis telewizyjny utrwala dzieła wybitnych twórców teatralnych i stworzone w nich kreacje aktorskie. Wystarczy przypomnieć, że dzięki zapisowi dokonanemu na użytek TV ocalały „Dziady” i „Wyzwolenie” we wspaniałych realizacjach Konrada Swinarskiego, po których zostałyby tylko legenda, jak po monumentalnych widowiskach scenicznych Leona Schillera.

W ostatnim okresie telewizja udostępniła swojej widowni dwa przedstawienia, które po teatralnych premierach zyskały duży rozgłos. W wieczór wigilijny pokazano nagrodzonego na ubiegłorocznych XIII Opolskich Konfrontacjach Teatralnych „Pana Jowialskiego” Fredry — spektakl łódzkiego Teatru im. S. Jaracza w reżyserii Tadeusza Bradeckiego, a w zeszły poniedziałek szef Teatru TV Jerzy Koenig osobiście zaprosił nas na telewizyjną premierę sztuki Pedra Calderona de la Barca „Życie jest snem” w kształcie scenicznym, jaki dał temu utworowi w krakowskim Starym Teatrze reżyser klasy mistrzowski — Jerzy Jarocki. Było to pierwsze w nowym roku wydarzenie teatralne na szklanym ekranie.

Przekaz telewizyjny nie zawsze oddaje w pełni walory żywo planowanej inscenizacji. Zwykle traci — także w kolorowej telewizji — scenografię, którą w całości, stanowiącej kompozycję plastyczną współpracującą z treścią sztuki, oglądamy z pomniejszającego i zacierającego poszczególne elementy tej kompozycji dystansu. Najczęściej w TV widać tylko fragmenty scenografii, znajdujące się w polu widzenia kamery kierowanej na te miejsca sceny, w których coś się dzieje i pokazującej w zbliżeniu aktorów.

Widzom, którzy czytali entuzjastyczne recenzje o wyreżyserowanym przez Tadeusza Bradeckiego przedstawieniu „Pana Jowialskiego”, po obejrzeniu prezentacji telewizyjnej mogło się ono wydać mocno przereklamowane. Fredro miał w Teatrze TV wiele świetnych realizacji, z których szczególnie, upamiętniły się spektakle Andrzeja Łapickiego, Jana Świdorskiego i Olgii Lipińskiej. Spektakl Bradeckiego, przy swoich niewątpliwych zaletach, wyszedł w telewizji dość blado, przepadł tu dowcip i uroda scenografii, za którą Urszula Kenar dostała nagrodę na naszych Konfrontacjach, nie wypalił pomysłu z obecnymi cały czas na scenie gęsiami, które w przedstawienu odbieranym na żywo były niewyczerpanym źródłem wesołości. Zwierzęta wszelkiego rodzaju na ekranie telewizyjnym to rzecz zwyczajna, więc i w widowisku teatralnym widok ptactwa domowego nie robił na nikim wrażenia.

„Życie jest snem” (w wolnym przekładzie czyli imitacji J. M. Rymkiewicza) zostało nagrane dla telewizji przez doskonałych fachowców z krakowskiego OTV w blisko pięć lat po premierze tego wybitnego spektaklu na scenie Starego Teatru. Wbrew celowo stworzonym pozorom nie jest to ciągły, całościowy zapis wybranego przedstawienia z udziałem publiczności, lecz pro-

dukt wielodniowej realizacji TV, w której toku rejestrowano poszczególne sceny. (Widziałam jak się to robi, kiedy wrocławska telewizja nagrywała w opolskim teatrze spektakl „Iwony księżniczki Burgunda”. Była to bardzo żmudna praca.) Ludzie siedzący na widowni to zapewne statyści, którymi zastąpiono normalną publiczność, wkomponowaną w tę inscenizację arcydzieła klasyka dramaturgii hiszpańskiej, bo spektakl Jarockiego grany jest na scenie i na widowni. Zgodnie z literą tekstu rzecz dzieje się w Polsce, co dla autora nie miało prawdopodobnie znaczenia, jako że w dramacie nie ma odniesień do realiów, faktów i postaci z naszej historii. Miejsce akcji było ważne dla reżysera, który sięgnął w 1983 roku, po dramatycznych wydarzeniach w naszym kraju, po tę właśnie sztukę Calderona, by zrobić spektakl o Polsce i Polakach, adresowany do Polaków. Tych wypełniających widownię Starego Teatru, i tych, którzy w poniedziałkowy wieczór, 11 stycznia 1988 r. zasiedli przed telewizorami, żeby obejrzeć to słynne przedstawienie w swoim domowym teatrze. Czy do wszystkich dotarła jego treść, czy wszyscy zrozumieli, jakie płyną z niego nauki dla nas — Polaków i dla nas — ludzi? Część widzów z pewnością nie wnikała w sens spektaklu i kierowanych ze sceny wprost do widzów słów, zadowalając się śledzeniem ciekawej akcji. Koneserzy teatralni delektowali się wyborną grą aktorów. Nie wiele mamy teatrów, w których można skompletować tak wspaniałą jak w Starym Teatrze obsadę aktorską. I niewiele jest w Polsce reżyserów, którzy potrafią osiągnąć takie wyniki pracy z aktorami, jakie osiągnął Jarocki w tym przedstawieniu, za którego pokazanie — cześć i chwała telewizji.

Dość o teatrze, bo czekają inne tematy. Np. sprawa cykli filmowych w Dwójce. Są one specjalnością drugiego programu. W cyklu poukładany jest niemal cały repertuar teatralny Dwójki. I bardzo dobrze, bo wprowadza to do niego jakiś ład, ułatwia wybór określonych pozycji do oglądania w tych samych dniach, o tej samej porze. Niestety, jakies niepoważne osoby robią sobie irytującą zabawę w przestawianie Dwójkowych cykli filmowych. Ledwie widzowie przyzwyczajają się, że jakiś cykl ukazuje się we wtorki, wędruje on do piątkowego programu, a ten, emitowany w piątki przesuwany jest na wtorkowe wieczory. Denerwuje też nagłe przerywanie cykli, które miałyby się ochotę oglądać dłużej i wymyślanie nowych, które kończą żywot równie raptownie. Tak było z cyklem „Nowe kino Ameryki Łacińskiej” i tak pewno będzie z rozpoczętym ostatnio cyklem „Nowe kino greckie”. Ostatnio zlikwidowany został war tościowy i mający zapewne liczną widownię wtorkowy cykl „Adaptacje wielkiej literatury rosyjskiej”, w którym po winna się była ukazać ekranizacja „Zbrodni i kary” Dostojewskiego, ale idzie ona w nowym cyklu „Ekranizacje literatury światowej”, którego następną pozycją ma być adaptacja „Braci Karamazow”.

Po koszmarnym serialu „Życie Augusta Strindberga”, gdzie szwedzki scenarzysta i reżyser zrobili z autora „Panny Julii” większego obłąkańca niż był naprawdę (nawiasem mówiąc odtwarzający postać pisarza aktor nie uwiarygodnił jej ani ubogą w środku grą, ani powierzchownością zupełnie niepodobną do Strindberga ze znanych fotografii) w poniedziałkowym cyklu „Biografie” znów pojawił się interesujący film dokumentalny. Opowiadała w nim z szokującą szczerością o swoim dzieciństwie i młodości oraz o swojej bardzo dziwnej rodzinie słynna francuska pisarka Marguerite Duras.

ROMANA KONIECZNA